PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXIV Nr. 28 *Warszawa, 11 lipca 1914.* Widok 3.

Dwaj przeciw siedmiu.

1.

Koło Polskie w Dumie składa się z dziewięciu ludzi. Z tych dziewięciu — należy siedmiu do stronnictwa narodowo-demokratycznego, dwóch zaś pozostałych tworzy mniej lub więcej wyraźną wobec Nar. Demokracji opozycję. Na jakim tle powstała ta opozycja? Trudno sądzić: jej przedstawiciele nigdzie nie określili stanowiska swego w sposób charakterystyczny. I tylko z tonu ostrzejszego, z tonu raczej, niźli z treści mów wygłaszanych w Dumie przez pp. Łempickiego i Parczewskiego, wolno się domyślać, że dwaj rzeczeni posłowie radziby iść w kierunku radykalniejszego akcentowania dążności narodowych kraju.

Wszelako, obaj, wstąpiwszy do Koła *solidarnego* obowiązani są wiernie solidarności przestrzegać. Swych najlepszych myśli, swych najśmielszych ruchów zmuszeni bywają zrzekać się w imię tej zasady, której się dobrowolnie poddali. Mocniejsze akcenty, które od czasu do czasu w ich mowach z trybuny dumskiej się odzywają, są niczym innym, jak kontrabandą, przemycaną potajemnie ponad szrankami solidarności Koła; są—powiedzmy otwarcie — swawolą ideową, przez dwóch posłów popełnianą wobec reszty kolegów. Przywiązywać jakąkolwiek do nich wagę z naszej strony byłoby wysoką naiwnością. Postać rzeczy zmienić mogłaby się dopiero wówczas, gdyby oponenci zyskali dla swej opinji większość *Koła*: gdyby nastąpiło w *Kole* przesilenie. O takim jednakże przesileniu ideowym *Koła* w obecnym składzie jego osobistym niema mowy. Niema mowy dlatego, że owych siedmiu posłów, stanowiących większość *Koła*, pozbawieni są władzy decydowania o sobie: nie są to wyznawcy jakiegoś politycznego przekonania, są to ofiary posłuchu. Ośrodek kierowniczy ich woli nie leży w nich, ale poza nimi: w głównym sztabie endecji. Są trąbami, na których grają muzykanci z *Gazety Warszawskiej*. Owóż zdarza się, że człowiek, najgłębiej o swej przekonany słuszności, pod wpływem argumentów przeciwnika podda swe przekonania rewizji i, zrewidowawszy je, zmieni lub odrzuci: do umysłu ludzkiego zawsze trafić można dowodem rozumowanym; ale jak trafić nim do trąby lub gramofonu, który cudze śpiewa arje?

2.

Wprawdzie, w czasach ostatnich, z powodu złożenia mandatów przez dwóch z łona większości endeckiej posłów, mianowicie pp. Kiniorskiego i Świeżyńskiego, otwiera się perspektywa wprowadzenia do *Koła* dwóch ludzi nowych: gdyby się udało wprowadzić ludzi nie spętanych przez Endecję, spodziewaćby się można, że poparłszy opozycję teraźniejszą, powiększywszy ją do liczby czterech przedstawicieli, czterech, którzy stają przeciwko pięciu, wybory dwóch posłów nowych niewątpliwie zaważyłyby na kierunku przyszłym *Koła*, nawet w granicach trwającej nadal solidarności. Ale—pytamy się—jest-że ta gra warta świecy? Szczęśliwi są ci, którzy znajdą w sobie dość zapału, a raczej niefrasobliwej

dość zabiegliwości, by się tymi wyborami zająć i w nie choć kroplę wiary, choć odrobinę otuchy przelać. My szczęśliwcami tymi nie jesteśmy. Kolegja wyborcze w obu guberniach, z których wyjdą nowi posłowie, sformowane zostały jeśli nie ściśle podług recepty endeckiej, to pod jej wyraźnym wpływem. Wybory tedy na następców pp. Kiniorskiego i Świeżyńskiego dokonają się w granicach zespołu ludzkiego, powołanego lub dopuszczonego przez Endecję. Takie wybory nas nie nęcą. Przesiewać ludzi przesianych już przez Nar. Demokrację: robótka ta, śród tysiąca innych robótek, znajdzie zapewne zwolenników, którzy nie ominą sposobności, by nawet w tak nieprzyjaznych okolicznościach spłatać Endecji figla. My jednak sądzimy, że z Endecją *walczyć* trzeba, nie zaś *płatać* jej *figle*: trzeba starać się o wyrwanie jej z korzeniem, nie zaś o to, by kilka listków strącić z jej tryumfującego czuba. A czym, w gruncie, byłoby wydobycie z kolegjów wyborczych dwóch jednostek, niedożartych trądem Endecji, gdy samo tworzenie się i układ owych kolegjów były dziełem rąk endeckich? Czym, jeśli nie odarciem kilku listków z drzewa Endecji, byłoby nawet przesunięcie w *Kole Polskim* ośrodka przewagi od strony prawej ku lewej, jeśli zmiana ta byłaby, co najwyżej, buntem przeciwko Endecji, nie zaś wyjściem poza Endecję?

Oto jedno jeszcze rozróżnienie, którego potrzebę nastręcza nam pełna mętu rzeczywistość dzisiejsza: inną jast rzeczą walka z kimś, inną natomiast — prostowanie czyichś błędów. Czujemy się powołani do walki z Endecją, tak! Ale nie naszym jest powołaniem korektura jej błędów.

Wszelkie zmiany, choćby najbardziej zbawcze, w obecnym składzie *Koła*, byłyby drobną jedynie poprawką, byłyby szminką życia na obliczu martwym: krwiby do jego organizmu nie wlały.

3.

Już przed kilku laty, z chwilą, gdy nad wschodzącym parlamentaryzmem rosyjskim zawisła dłoń reakcji, spychająca Dumę z poziomu urządzeń konstytucyjnych na poziom organow doradczych, wyraziliśmy na łamach *Prawdy* zdanie o bezowocności dalszego uczestnictwa Polaków w Izbie państwowej. Przedstawicielstwo polskie mogło i miało zasadę ku temu, aby zasiadać w parlamencie rosyjskim. Ale kręcić się w antyszambrach biurokracji? Razem z degradacją Dumy iść musiała nieuchronnie degradacja przedstawicielstwa polskiego: to było dla nas jasne już wówczas; stawiliśmy tedy ogółowi pytanie: w jakim celu naród nasz ma sobie fundować dobrowolnie degradację? Poco dobrowolnie kłaść się na łoże Prokrusta? Lecz ogół wówczas nie chciał nam wierzyć. Dumę wyobrażał sobie nie jako łoże tortur, na którym szalejący szowinizm Bobrynskich miał nam wycinać z ciała narodowego funt po funcie, ale jako podwórko bogacza, na którym obiecywał sobie zbierać niestrzeżone ziarna, zapomniane szczątki, niebronione ochłapy.

Minęło lat kilka, i — cóż się okazało?

Duma, jako aparat chirurgiczny, działała po mistrzowsku. Jako łoże Prokrusta dla Polski, spełniła zadanie swe bez zarzutu, i pełni je w dalszym ciągu z powodzeniem. Gdzie trzeba ciąć, tnie. Gdzie trzeba dusić, dusi. Gdzie trzeba łamać, łamie. Natomiast korzyści, które sobie po niej obiecywano, jak przewidywaliśmy, stały się, niestety, majakiem.

Dwie sprawy dla nas wielkie o charakterze narodowym przetoczyły się przez Dumę: i obie przetoczyły się... ponad głowami posłów polskich. Pierwsza—to sprawa Chełmszczyzny. Druga — to sprawa samorządu miejskiego.

Dziś, gdy na obie te sprawy patrzymy wszyscy z pewnego oddalenia, snadniej osiągnąć zgodę w zapatrywaniach. Nikt też zapewne nie zaprzeczy, gdy powiemy, że kraj nasz nicby nie stracił na tym, gdyby uchwała co do wyodrębnienia Chełmszczyzny zapadła była zaocznie w Dumie, bez naszego w niej udziału.

A sprawa samorządu? I ta również przetoczyła się ponad głowami *Koła*.

Wyszedłszy z ministerjum, utonęła w Radzie Państwa, by ponownie zwartwychwstać w projekcie ministerjalnym. Jedyną zasługą *Koła* jest zredukowanie programu ministerjalnego do miary Aleksiejewa. Stołypin jak wiadomo, wyznaczał Polakom stanowisko obywateli drugiej klasy: *Koło*, przyjmujące projekt

Aleksiejewa, dało rządowi do zrozumienia, że zadowoli się obywatelstwem trzeciej klasy.

4.

Przepowiednia nasza się spełniła. Koło polskie żadnej nie odwróciło od kraju klęski i żadnej nie zyskało dla kraju korzyści. Szereg drobnych reform gospodarczych, jakie zyskało Królestwo w ciągu lat ostanich, jak: komasacja, prawo wodne, uregulowanie serwitutów, wynika z ogólnego rozwoju państwowego Rosji, nie zaś z polityki liczenia się rozwojem narodowym Królestwa: są to ustępstwa czynione czasowi, nie zaś ustępstwa czynione Polsce.

Gdy więc samo Koło Polskie traci rację bytu, a raczej utraciło ją już dawno, niezbyt wiele przywiązujemy znaczenia do jego składu osobistego, a już żadnych nie łączymy nadziei z możliwością przemian w tym składzie. Dwa lata temu, biorąc udział w koncentracji wyborczej, która wysunęła kandydaturę narodową przeciw partyjnej kandydaturze Endecji, mieliśmy na widoku przedewszystkim organizację opinji politycznej w kraju: nie tyle o fizjognomję *Koła* nam chodziło, po którym nic oczekiwać nie było można, ile o skrystalizowanie fizjognomji społeczeństwa.

To zróżnicowanie przekonaniowe, jakie dziś zarysowywa się w *Kole*, ma dla nas znaczenie duże, ale nie to, o jakim myślą zwolennicy Endecji, lub heretycy Endecji. Nie budujemy na tym zróżnicowaniu żadnych planów praktycznych, gdyż nie wierzymy w istotny pożytek *Koła*. Odrodzenie przedstawicielstwa polskiego nastąpić mogłoby tylko w odrodzonym parlamencie. Lecz w takim razie przyszłoby ono zzewnątrz, trysłoby ze społeczeństwa. Samo z siebie *Koło* odrodzić się nie może, gdyż *ex nihilo nihil;* zaś *Koło*, jak mówi jeden z przedstawicieli jego mniejszości opozycyjnej, jest w Dumie obecnej niczym, zeszło do zera. Nie odrodzi się też z kolegjów wyborczych, choćby stokrotnie przetrząsanych.

5.

Tam atoli, gdzie się poczyna różnicowanie, tam jednocześnie otwiera się pole dla samowiedzy. Dopóki *Koło* było ciałem jednolitym, nie było w nim mowy o samowiedzy. Nie potrafiło ono nic nam o sobie powiedzieć. Prawdopodobnie nie zdawało sobie sprawy z faktu swego istnienia. Jedyną jego świadomością było poszłuszeństwo, warszawskiemu zaprzysiężone kierownictwu. Dziś posłuszeństwu przeciwstawia się w osobie dwóch ludzi obudzony krytycyzm względem siebie; posłuchowi przeciwstawia się sumienie i poczucie odpowiedzialności za swe kroki. Antagonizm, jaki zarysował się w *Kole polskim* odgrywa rolę zwierciadła, w którym *Koło* snadnie wizerunek swój obejrzeć może, obejrzeć go i — pokazać innym. Nie jest to zdobycz byle jaka. Dotychczas o *Kole* i jego członkach kraj dowiadywał się tylko ukradkiem, dzięki od czasu do czasu popełnianym przez tego lub owego posła niedyskrecjom... na rachunek kolegów. Obecnie kres plotkom kładą informacje rzeczowe. Istnieje nadal solidarność *Koła* w przemawianiu wobec Dumy, ale pękła niemniej ściśle przestrzegana przez *Koło* solidarność milczenia wobec kraju. Z wywiadu, zamieszczonego na łamach *Kurjera Litewskiego* na podstawie wynurzeń posła Łempickiego, widać że opozycja nie zamierza bynajmniej krępować się w sądach o polityce *Koła*, opozycję ową majoryzującej. Ze słów posła tegoż, na innym miejscu wypowiedzianych, mieliśmy możność przekonać się, że grupa endecka stanowi w *Kole Polskim* żywioł doszczętnie zdemoralizowany, próżniaczy, nieudolny i małoduszny. Domyślaliśmy się, sądząc po wynikach ich działania, jakimi być muszą; dowiedzieliśmy się teraz, że to, czym są, jest o wiele gorsze od naszego domysłu. Albowiem my tutaj, w kraju, niemoc posłów swoich ujmowaliśmy zawsze na tle niemocy narodu. Ich bezsilność i klęskę kładliśmy na karb naszej tragedji. W milczeniu ich nawet słyszeliśmy wołanie krzywdy naszej. W milczeniu ich dygotał wielki nasz ból. Po stokroć powtarzać sobie musieliśmy, że Koło Polskie składa się z karłów; mimo to, karły te do znacznych urastały proporcji pod ciosem każdego gromu, który walił ponad ich głowami w naród. Po stokroć powtarzaliśmy sobie, że są to pachołkowie endecji: żadne przecież rozumowania nie mogły zatrzeć faktu, że ludzi tych oświeca łuną wielkie całego narodu nie-

szczęście. Było w nich coś z nałogowców, upijających się hańbą, ale i coś z męczenników, uosabiających swym losem sponiewierane losy ojczyzny.

I dopiero w świetle wewnętrznej samowiedzy obnażyła się ich istota bezwzględna; dopiero w świetle, które z wnętrza *Koła* wytrysło, odpadły z *Koła* pozory, pozostała natomiast bezwstydna rzeczywistość. Ci, którzy uchodzili za obarczonych trudem i męką, niosą ciężar swój lekko i wesoło; nie czują go prawie wcale, bo on dla nich prawie wcale nie istnieje. Nie mają styczności z krajem, więc razem z nim nie cierpią. Zdobyli mandaty, więc już walczyć nie mają o co. Ani cierpienia nie znają, ani walki. Praca? Lecz praca, aby była wydajna, musi być pracą umiejętną, a oni na niczym się nie znają, niczego nie umieją. Czyż w takich warunkach nie lepsze jest próżniactwo? Czyż próżniactwo nie jest w nich usprawiedliwione niedołęstwem?

Koło polskie stało się nie przewodnikiem dążeń narodu, ale przegrodą, która dążeniom tym dostęp tamuje do szlachetniejszych żywiołów Rosji. Ono nas ośmiesza. Ono nas upokarza. Mandaty poselskie poniosło do Petersburga nie jako głos wielkiej krzywdy i głos wielkiego żądania, ale jako kupony zapewniające w stolicy mierną lecz pewną synekurę.

A słowa powyższe — kładziemy na to nacisk — nie są oskarżeniem naszym; są wyrazem sumienia, które w łonie *Koła polskiego* powstało przeciw *Kołu*, są samooskarżeniem: pierwszym aktem poznawczym, poprzez który *Koło* poszukując swej istoty napotkało... swą nicość.

GROMICZ.

Na gorącym uczynku.

Kobiety powinnyby nareszcie przyzwyczaić się do tego, aby rozwoju umysłowego swych mężów lub kochanków nie brać za zniewagę osobistą.

***

O ileżby życie było piękniejsze, gdyby golibrodzi nie zajmowali się polityką, a kielnerzy nie uprawiali krytyki literackiej!

ORION.

Echa Prawdy.

I. Sielanki słowianofilskie. II. Niepojęta naiwność. III. Divide et impera. IV. Ustąpcie! V. Pod godłem hakaty.

I. Któż bardziej niżli Bułgarja — zdawała się pani Norze Walickiej Bucewiczowej — nadaje się jako teren do szerzenia wiadomości o Polsce, wygłaszania odczytów, zdobywania serc braci Bułgarów dla sprawy polskiej. Zachęcona opowiadaniem Gregora Wasiljewa, jednego z wodzów młodej Bułgarji, który gorąco przekonywał korespondenta *Kurjera Litewskiego*, że należy utrzymać kontakt z Bułgarją: — «dlaczego nie poznajomicie Bułgarji z Polską i jej wielką sprawą?» — mówił z serdecznym wyrzutem Gregor Wasiljew... Więc pani Nora Walicka Bucewiczowa wybrała się z teką pełną odczytów do Bułgarji... Prędko jednak wróciła, gdyż piątego dnia pobytu otrzymała piśmienną zachętę — do opuszczenia granic Bułgarji. Działalność jej uznano za szkodliwą, z przestrachem spojrzano na kartony wyobrażające cykl Grottgerowski, jeszcze więcej przerażono się tytułami mających się odbyć odczytów. Strach padł na naród bułgarski, — na ministrów, na stowarzyszenia polityczne i społeczne w Sofji. Prysła konwencjonalna sielanka słowianofilska, o której mistycznie przed rokiem opowiadał czytelnikom *Świata* p. Tadeusz Miciński.

Innego rodzaju rozegrała się sielanka słowianofilska w Berlinie. Na wieść o zamachu serajewskim p. Wojciech Korfanty w te pędy poleciał do poselstwa serbskiego w Berlinie, by dowiedzieć się od dr. Jowanowicza, posła serbskiego, w jakim stosunku stoi Serbia do Austrji i co myślą Serbowie o Polakach.

Rozmowa była o tak wielkim znaczeniu politycznym dla nas, że nie omieszkał jej umieścić w *Kurjerze Warszawskim*, a mianowicie dowiedzieliśmy się, że Serbowie gorąco pragną porozumienia polsko-rosyjskiego... Być może ktoś zachęcony znów miłą rozmową p. Korfantego z p. Jawanowiczem pojedzie do Białogrodu mówić o stosunkach polskich... Złudna sielanka słowianofilska trwa. Mniej jednak sielankowo zachowują się Serbowie, gdy chodzi o ich sprawy, dowiódł tego zamach i cały arsenał bomb w Serajewie. — Te sielanki z których jedna rozegrała się w Sofji, a druga w Berlinie zmuszają nas do postawienia pytania — czy długo jeszcze naród polski będzie śnił sielankę słowianofilską, żebrał u pierwszego lepszego Bułgara lub Serba pozwolenia na odczyt w Sofji, wysłuchiwał wskazań politycznych od posłów serbskich w Berlinie lub starał się zdobyć sympatję wśród Albańczyków w Durazzo?

II. Z chwilą, gdy jakaś tajemnicza osobistość nadesłała *Kurjerowi Porannemu* list, nawołu-

jący do utworzenia «Prytanejonu», dziennik ten stał się gorącym rzecznikiem «syntezy polskich polityk dzielnicowych w stosunku do ogólnej orjentacji zewnętrznej».

Idea powyższa wydaje się *Kurjerowi Porannemu* pomysłem zgoła nowym, oryginalnym, niemal objawieniem, gdy w istocie jest ona tylko nowością na szpaltach tego pisma, uprawiającego dotychczas w dziedzinie polityki międzynarodowej jedynie usilną nagankę na Austrję—kampanję nieszkodliwą zresztą dla monarchji Habsburskiej, natomiast bałamucącą w wysokim stopniu mniej krytycznych czytelników warszawskich.

Dziwi się obecnie *Kurjer Poranny*, że «wśród ogółu zatraciło się poczucie konieczności ciągłego pielęgnowania tej syntezy».

A czyż *Kurjer Poranny* kiedykolwiek podsycał je i krzewił? Czy przeciwnie nie czynił wszystkiego, by je zagłuszyć i zdepopularyzować, ośmieszając lub bagatelizując wszelkie próby, podejmowane w kierunku zorganizowania solidarnej akcji?

Na tym punkcie *Kurjer Poranny* rywalizował o lepsze z *Dwugroszówką*. Nie powinno więc dlań być niespodzianką, gdy otrzymuje listy, tłomaczące, iż «o jednolitości frontu pod względem polityki zewnętrznej mowy być nie może, natomiast jest możliwą, pożądaną i konieczną tylko jednolitość pod względem ekonomiczno-społecznym», bo «zdobywszy sobie finansową niezależność, będziemy przedstawiać pewną siłę i dla wrogów naszych, którzy skutkiem tego będą zmuszeni liczyć się z nami, a w końcu z wrogów stać się mogą nawet rzetelnymi przyjaciółmi» — i to oczywiście na podstawie «bezwarunkowo nie uniknionej i to w niedalekiej przyszłości, solidarności świata słowiańskiego».

Naiwny ten pogląd, rozpowszechniony szeroko w społeczeństwie polskim, jest owocem konsekwentnej propagandy większości dzienników warszawskich, wśród której *Kurjer Poranny* pod tym względem nie stanowił wyjątku, różniąc się jedynie metodą.

Trudno przypuścić, aby nie zdawał sobie sprawy ze swego postępowania. Niepotrzebnie więc teraz rozdziera sobie szaty giestem melodramatycznym...

III. Jak należało oczekiwać, pomysł *Kurjera Porannego* z najmniej przychylnym przyjęciem spotkał się ze strony Endecji.

Nawet teoretyczna możliwość powstania «rządu dusz» bez jej udziału kierowniczego wydaje się demokracji narodowej zuchwałym zamachem na monopol reprezentacji narodowej.

Nic tak nie wyprowadza z równowagi organów endeckich jak wszelka, próba organizowania społeczeństwa pomimo *placet* p. Dmowskiego.

Myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że Komisja Tymczasowa obrzucana była błotem jako wyrazicielka kierunku, będącego zaprzeczeniem polityki oportunistycznej.

Stanowiła ciało kierownicze, pełniła funkcje organizatorskie, i tego właśnie—niezależnie od dążności programowych—darować jej nie mogła dobrana i zwarta klika endecka.

Po rozłamie w Komisji Tymczasowej, gdy jej wpływy się obniżyły, gdy znikła na czas jakiś obawa konsolidacji żywiołów nieprzejednanych, stanowisko prasy endeckiej uległo widocznej zmianie.

Zamiast poprzedniej nienawiści, jaką wzbudzała Komisja, pozostało jeno lekceważenie względem przeciwnika, który przestał być groźnym konkurentem...

Natomiast zasadnicza ideologja galicyjskiego ruchu militarnego, doniedawna przedstawianego jako szaleństwo i zgubna robota, obecnie traktowaną jest znacznie łagodniej i pobłażliwiej.

Świadczy o tem chociażby korespondencja z Krakowa w № 135 *Gazety Warszawskiej* pod charakterystycznym nagłówkiem «Młodzież wobec Komisji Tymczasowej», gdy właściwie dotyczy ona stanowiska młodzieży wobec rządu austryjackiego, usiłującego narzucić swą kuratelę polskim organizacjom strzeleckim.

Rok temu niezawodnie zgromionoby surowo całą młodzież za zaprzątanie sobie głowy niepotrzebnymi mrzonkami. Dziś słowa potępienia znalazły się tylko dla «Związku strzeleckiego» za jego wierność Komisji Tymczasowej. Drużyny strzeleckiej, jako że wypowiedziały posłuszeństwo Komisji, mimo analogicznych celów, utraciły swój charakter niebezpieczny dla przyszłości Polski.

Byle nie dopuścić do zjednoczenia, byle utrzymać w rozbiciu — oto jedyne zadanie cynicznej dwulicowej polityki endeckiej.

Zasady zaś są od tego, by umiejętnie nimi żonglować!

IV. Ustąpcie! woła w ostatnim zeszycie *Humanisty Polskiego* pewien nauczyciel pod adresem handlarzy sklepikarzy i sklepikarek, którzy założyli przedsiębiorstwa, geszefty pod nazwą «szkoła polska» i zasiedli w togach senatorskich na krzesłach kurulnych.

Gdyby ci geszefciarze byli przynajmniej uczciwi, pisze nauczyciel na łamach *Humanisty Polskiego*. Ale oni wszystko zrobią, ażeby uratować swój tysiąc rubli — ostatnią otuchę życia. Wyrzucają nauczycieli nie w terminie słusznym i przyjętym, ale *jure caduco*.

Cała ich biegłość pedagogiczna redukuje się do buchalterji i groszowej oszczędności na zdrowiu młodzieży i nauczycieli. Nie dopuszczą do najmniejszej reformy, bo ich ptasie mózgi tego nie rozumieją; bo się boją narazić chlebodawcom—rodzicom i opiekunom.

Psychologowie, pedagodzy wypracują nowy, łatwy do wprowadzenia plan szkolny, a sklepikarze go odrzucą i będą deptać po mózgach dzieci, aby wydeptać swego rubla!

Do tych już głosem ogromnym należy powiedzieć: ze szkoły polskiej jeszcze przed zamknięciem dziesięciolecia — ustąpcie!

A do niektórych nawet — precz!

Głos ten *Humanisty Polskiego* nie przebrzmi bez echa; niedawno w *Prawdzie* wskazano na zło, jakie zalęgło się w szkole polskiej pod wpływem tych właśnie geszefciarzy o których mówi nauczyciel w *Humaniście*. Szkoła nasza zdobyta ofiarami i wysiłkami społeczeństwa i młodzieży, nie może się stać żerowiskiem dla geszefciarzy. Zbliża się — ufamy — czas, że społeczeństwo, młodzież, lepsza część pedagogów zawoła pod ich adresem — precz!

V. Było-ż to w Bielsku, czy też w Katowicach? Nie, przepraszam, było to w Skolimowie. Na zabawie w parku zgotowano dla publiczności nie lada atrakcję.

Po przedstawieniu dla starszych dzieci, kiedy rozbawiona gromadka, «małych Polaków» z niemniej rozbawionymi ich uciechą rodzicami opanowała salę teatralną, pomysłowy inicjator zabawy obdarzał dziatwę, zapowiedzianymi na afiszach chorągiewkami narodowymi — zróbmy pauzę, aby sobie jeszcze raz uprzytomnić że to naprawdę działo się w Skolimowie! — chorągiewkami narodowymi... Rzeszy niemieckiej. Oczywiście, że prym trzymał na nich wymalowany orzełek pruski.

I byłaby się pięknie i składnie udała ta zaimprowizowana defilada — skopjowana dosłownie z pochodu *schulwerien'ów* — w parku skolimowskim, gdyby nie drobna okoliczność, że jakiś niecierpliwy... widz zareagował na tę manifestację pojednania z orłem pruskim.

Z żalem ten i ów rzucił chorągiewkę, i .. sytuację pokryło ogólne milczenie.

Zapewne nie poparto wymownie pretestu ze względu na higjenę ducha i ciała, nie chciano zakłócać sobie wywczasów letnich... polityką.

I tylko tu i owdzie przepełzło ciche westchnienie — «Et, zły jestem, popsuto nam zabawę».

Rzeczy i ludzie.

Zygmunt Kisielewski: komar który się upił krwią wyssaną z palca Micińskiego.

***

Tango jest to ruch rytmiczny godny lepszej sprawy.

Dr. W. ORŁOWSKI.

Dola Polaka.

Życie na każdym kroku ukazuje mi wieloraką mnogość polskich tragedji; są takie, koło których obojętniej myśl ma przechodzi, spotkać się bowiem można z nimi i w innych środowiskach ludzkich — niemieckich, francuskich, rosyjskich i t. d. Są jednak pewne, jedynie własne, polskie tragedje. Tragiczna jest historja Polski, jest to jednak tylko grunt przeszłości, przesycony jadem tragizmu, którego, jako konsekwencje, wyrastają dopiero współczesne niedole. Jedną z takich złowrogim światłem błyszczących mgławic tragicznych — jest tragedja Polaka, wyrzuconego poza nawias współczesnego polskiego życia.

Tragedja ta polega na tem, że ten typ, który doskonale rozwijaćby się mógł, gdyby był Francuzem, Niemcem, Anglikiem — w naszym środowisku siłą odśrodkową naszego życia zostaje odepchnięty, niema dla niego miejsca, jest zbyteczny. «Rób to, co i my!» woła do niego społeczeństwo.

«Nie umiem, nie mogę, nie chcę!» odpowiada tragiczne indywiduum.

Nieporozumienie polega na tym, że, w porównaniu z narodami mającymi swoją państwowość, a tym samym zużytkowyjącymi całą nagromadzoną energję narodową, której to państwo jest wyrazem, naród polski, przy tejże historycznie wyrobionej energji, nie jest w stanie wszystkich jej objawów zużytkować. Inaczej mówiąc, jeżeli w państwach samodzielnych może być zużytkowane X różnorodnych typów uzdolnień ludzkich, w Polsce napewno zapotrzebowanie na tę różnorodność uzdolnień musi być o wiele mniejsze — czyli pewne jednostki, pewne uzdolnienia ludzkie są zbyteczne, niepotrzebne. Faktem jest jednak, że są. Warunki życia, nie sprzyjające ich rozwojowi, mogą je przygłuszać, nie są jednak w stanie zupełnie ich zniszczyć, szczególniej w jednostkach o wybitnie rozwiniętej indywidualności. Z czasem, wskutek braku zastosowania, uzdolnienia te karłowacieją, człowiek jednak nie jest w stanie wyrwać ich z siebie. Wskutek tego wytwarza się mniej więcej taki obraz, który w ten sposób poglądowo możemy przedstawić: pewna liczba typów polskich, wskutek specjalnych uzdolnień i popędów w kierunku wojskowym, nie może znaleźć zastosowania i ujawnić swych zdolności przyrodzonych czy dziedzicznych, jako oficerowie, pułkownicy, sztabowcy, strategicy, taktycy, artylerzyści i t. d. Ta droga zamknięta. Z indywiduów tych siłą rzeczy muszą się tworzyć

belfrzy, literaci, przemysłowcy, technicy i t. p.; jednostki te, wskutek innych popędów, znajdujących swe źródło we wnętrzu jaźni swojej, muszą stanąć w pewnej rozterce pomiędzy swojem ja a światem. Nie jest to tak problematyczne, jakby się zdawało, jesteśmy narodem rycerskim, tradycje rycerskie w nas żyją— pewien więc kapitał tej energji nie zostaje zużytkowany.

Przykład ten da się zastosować tymbardziej i do innych sfer życia, jak dyplomacja, w której miejsca dla nas niema, administracja, sądownictwo, i t. d.

Przykłady te wystarczą, aby zdać sobie sprawę z jednej jeszcze niedoli Polaka, który rodzi się jak każdy człowiek innej narodowości z pewnemi przyrodzonymi zdolnościami, a życie nie pozwala mu ich rozwinąć i dać im naturalne ujście. Nie wszyscy bowiem możemy się pomieścić w tych szczupłych kategorjach podziału pracy, jakie z konieczności narzuca nam tragiczne życie polskie.

J. GRABIEC.

Pańskie dziady, — czy własna chałupa?

II.

Pańskie dziady, jako echo epopei.

Na wstępie zaznaczę, że skupiony pod sztandarem „idei ludowej"— ruch ludowcowy ujawnił się w Królestwie zaledwie przed ośmiu laty, z początkiem 1906 r. W Galicji zaś, skąd został do nas przeniesiony i gdzie powstał i wyrabiał się, za początek jego uznać trzeba pamiętny wiec chłopski w *Sokole* Lwowskim podczas wystawy Kościuszkowskiej w r. 1894 zebrany. Ideologja ludowcowa wyprzedziła nieco sam ruch, gdyż początki jej znajdujemy już w *Przeglądzie Społecznym*, w latach 1886—8, we Lwowie wydawanym. Tam też założone zostały podwaliny teorji społecznych i zasad programu politycznego obozu ludowcowego.

Zupełnie natomiast mylne jest szukanie pierwociu ruchu ludowego w Warszawskim *Głosie* z lat 1886 i 1894, a raczej — w demagogiczno-chłopomańskiej frazeologji tego pisma, w której zwłaszcza poźniejszy wódz endecji, J. L. Popławski, celował.

Nie ulega wątpliwości, że naukowe artykuły *Głosu*, wybitnie zasłużonego w rozwoju polskiej myśli pisma, oddziałały na kształtowanie się pojęć ludowców, jak całego zresztą współczesnego pokolenia. Silny szczególniej był wpływ samodzielnego a niedocenionego myśliciela. J. K. Potockiego, a zwłaszcza jego teorji społecznych, w części tylko streszczonych w pośmiertnej książce *Współzawodnictwo i współdziałanie.*

Obca natomiast zupełnie idei ludowej dzisiejszej była owa chłopomańska frazeologja *Głosu*, o której mówiliśmy wyżej. Przedewszystkim chłopomanja ta była obcą naszej myśli politycznej zupełnie. Była to chwilowa naleciałość ze Wschodu – echo rosyjskiego „narodniczestwa". Świadczy o tem sama jej istota — idealizowanie chłopa-oracza—niby bajecznego Mikuły Sielaninowicza — i pasowanie go na rycerza przyszłej szczęśliwości; świadczą wyrzekania na przeżycie Zachodu; świadczy wreszcie i teorja dwuch kultur: tysiącletniej szlacheckiej i potężnej chłopskiej. Niczem też, jeno echem dumań Ilji Muromca — był choćby taki „Sen Grzeli" w jednym z pierwszych numerów *Głosu* — wykład ideologii chłopskiej, w formie niby ballady dziejowej podany.

Z owego też zlokalizowanego „narodniczetswa"—wypływał bezpośrednio obcy idei ludowej negacyjny stosunek chłopomanów *Głosu* do naszej przeszłości dziejowej. Dla ludu zdaniem *Głosu* „tysiącletnia kultura i tradycja narodowa" musi być „obcą, często niemiłą, czasem wstrętną nawet już dlatego, że jest szlachecką wyłącznie, a inna być nie może, bo taka była przeszłość dziejowa Polski".

Otóż tej to właśnie abdykacji z przeszłosci dziejowej w imieniu ludu nie znajdujemy dzisiaj u ludowców zupełnie.

Przeszłość dziejową Polski ludowiec uważa za swoją. Praca polska stwarzała i dziś stwarza kulturę polską; kmiecia polskiego niemiec, lub rodak-renagat wywłaszczał z ziemi polskiej na 600 lat przed rugowaniem szlachty; na Śląsku chłop polski był jedynym żywiołem który polskość zachował, mimo prześladowań, szlachcie nigdzie w tym stopniu nie znanych; kości chłopskich pułków wybranieckich, wespół z kośćmi szlacheckich chorągwi pancernych, zasłały wszystkie pola chwały polskiej. Chłop-rekrut galicyjski zbieg z austryjackiego glidu lub jeniec—wespół z Dąbrowskim i Wybickim stworzył legiony, zanim do nich jęli napływać ochotnicy szlacheccy, i dumnie rzucił światu oświadczenie, że ojczyzna — nie zginęła.

Skądżeby lud wyrzekał się przeszłości narodowej, która i jego dziełem była?

Że przez pryzmat idei ludowej wiele spraw z przeszłości naszej inaczej wygląda, niż w oświetleniu ideologji szlacheckiej, nic dziwnego.

Lud dla Polski nie tylko cierpiał, nie tylko za nią walczył, lud dla Polski pracował. Dla ludu

praca to—jedyny tytuł do praw i obowiązków obywatelskich, dla szlachcica—dawnych czasów—zajęcia ręczne „sprośne a smrodliwe są“ jak orzekł pierwszy teoretyk polityki szlacheckiej—Stanisław Oksza Orzechowski.

Dla ludowca też praca narodowa najważniejszą musi być sprawą narodową. Przewaga interesów pracy narodowej i czynników tejże — warstw pracujących — w polityce narodowej jest punktem wyjścia polityki ludowców.

Kultura narodowa dla pracy narodowej— oraz zupełna wolność pracy narodowej—muszą być tej polityki hasłami.

Taka jest treść „idei ludowej“.

Gdzież tu jakiebądź pokrewieństwo ze stanowymi hasłami chłopomaństwa *Głosu*? Jeżeli już szukać jakiegobądź pokrewieństwa dla idei ludowej, to tylko na Zachodzie, lub w przeszłości naszej. Na Zachodzie znajdujemy analogję z naszą „ideą ludową“ w teorjach społecznych Henryka Bergsona—w jego zwłaszcza ewolucji twórczej—młodszej od idei ludowej o lat kilkadziesiąt; znajdujemy cokolwiek w rewizjonistycznym materjalizmie dziejowym Mehringa, u Sorela, u Edwarda Bernsteina i teoretyków rolnych radykalizmu zachodnioeuropejskiego. Żadne jednak pokrewieństwo ze wschodem idei ludowej nie łączy. Jest to, jak zobaczymy później, krew z krwi, kość z kości—puścizna rodzimej myśli społecznej i politycznej. W przeszłości też naszej pokrewnych jej zjawisk szukać należy.

W poszukiwaniach tych jednak trzeba pominąć niemal zupełnie hasła i teorje Demokracji emigracyjnej, po 1831 roku powstałe.

Katastrofę 1831 r. dosadnie charakteryzuje Stanisław Brzozowski w swej recenzji z pracy o Mochnackim. „Była to likwidacja szlachty naszej—jej exodus. Na wygnaniu stworzyła ona swoją religję—religję odkupionego szlacheckiego społeczeństwa o życiu, utrzymującym się w świecie pozaludzkim, niezależnie od twardej pracy, wykuwającej nasz twardy świat w żywiole“.

Jednym też z przejawów tej religji, nad rzekami Babilonu powstałej, a zarazem pięknym obrazem pokutnictwa tężyzny szlacheckiej, była ideologja demokracji emigracyjnej.

Nie znalazła ona uznania między „demosem“—nawet emigracyjnym. „Przestańcie chlubić się opiekuńczą strażą nad nami nareszcie; przestańcie być demokratami, gdy każde słowo niemal jasno powiada, że jesteście wypływem arystokracji, która, chcąc być wyższa od innych, wyższych od sienienawidzi“ — pisali do Centralizacji żołnierze z zakładu w Cohors. Różniła się znacznie dem. emigracyjna od jedynej demokracji rodzimej — w kraju, mieszczańskiej ideologji Libelta, Marcinkowskiego, Wojkowskich w Księstwie Poznańskiem, a do dziejów przeszła, jedynie jako świetny epizod 70-cio letnich walk o odzyskanie państwowości własnej utraconej w 1795 r.

Treścią demokracji emigracyjnej była właściwie demokratyzacja walki o Rzeczpospolitą przedrozbiorową—bo innej Polski nie można było w tym czasie sobie wyobrazić. Polskę z przed r. 1772 rozebrano, taką Polską rozporządzał się Kongres Wiedeński. Taką też chcieli wskrzesić, nietylko nasi patryoci, lecz nawet i rewolucjoniści międzynarodowi, co widać choćby z artykułów Karola Marxa w *Rheinische Zeitung*, pisanych.

Na tej to właśnie Polsce i załamały się, zarówno nadzieje rewolucji europejskiej, jak hasła i czyny demokracji naszej. „Wiosna ludów“ w r. 1848 zatrzymała się u słupów granicznych Rosji, panującej na $^2/_3$ tej Polski. Klasyk demokracji — Mochnacki, musiał uznać szlachtę za „jedyne oddychalne powietrze Polski“. A wśród walki? Rzeź Tarnowska, bierność masy ludowej wobec propagandy i martyrologji demokratów i wreszcie—Kresławka, Sołowjówka i kilkuset wisielców chłopskich w samej etnograficznej Polsce z rąk bratnich w 1863 r., wytrąciły broń z dłoni ideologów demokratycznych...

. . . .

Zakończył się 70-letni okres bojów o przywrócenie Polski-Rzeczypospolitej. Nastało długie czeterdziestoletnie zacisze. Tak długiego okresu pokoju zupełnego uie znały dzieje nasze dotąd nigdy: najdłuższy bowiem okres bezwojenny — od klęski konfederatów dzikowskich do początków ruchawki Barskiej w XVIII w. — trwał lat 33 zaledwie.

Duże też zmiany w pojęciach polskich — duże zmiany w samej Polsce, zaszły wśród tego czterdziestolecia pokoju.

Po klęsce 1863/4 r. przodujące dotąd w walce o byt państwowy warstwy narodu uroczystą kapitulację ogłosiły. Szlachta, czy to w postaci stańczyków, czy ugody dwu innych dzielnic, „ze czcią złożyła w Panteonie pamiątek narodowych sztandar bojów o niepodległość, sztandar konfederatów barskich i Kościuszki [1])“ — Mieszczaństwo, niedawno do herbu obywatelstwa przyjęte przez szlachtę, oświadczało przez usta swych ideologów pozytywistów: „Marzenia o odzyskaniu samoistności zewnętrznej ustąpić dziś winny [2])“ staraniom o samoistność wewnętrzną; postęp polski ucieczki przed widmem klerykalizmu galicyjskiego lub poznańskiego szukał pod skrzydłami, przyszłej postępowej Rosji; [3]) bogata burżuazja słała bardzo daleko idące memorjały (Blocha et cons). Radykali w *Głosie* stawali się

[1]) Wrotnowski: «Aspiracje porozbiorowe».
[2]) Świętochowski: «Wskazania polityczne».
[3]) Świętochowski: «Błędne koła».

echem rosyjskiego narodniczestwa, przeciwstawiając kulturze i tradycji historycznej nowoodkrywaną kulturę chłopską; młodzież wreszcie socjalistyczna odsyłała sam okrzyk — niech żyje Polska! — do archiwum strupieszarych i skompromitowanych nadużyciem pamiątek narodowych [1]).

Dziwnie też przerodził się wśród tego czterdziestoletniego pokoju sam patrjotyzm polski. Z potężnych imperatywów czynu, wspomnienia zostały. Trzeci Maj, Kościuszko, Legiony... wszystko stało się jakimiś testamentami, których komentowanie stało się jedynym przejawem myśli narodowej. Wyparte z życia realnego patrjotyczne hasła i dążności powoli stały się jakąś baśnią o śpiącej królewnie dla rozczulenia, lub o Wyrwidębie i Waligórze — dla pokrzepienia serca — tworzoną...

Jak dalece obce dla ostatnich pokoleń „wyższych dziesięciu tysięcy“ narodu stały się hasła i taktyka z okresu 70-cio letnich — minionych usiłowań, świadczą losy wznowionej przez pułk. Miłkowskiego w „Lidze polskiej“ ideologji—irredentystycznej demokracji polskiej.

Najdziwaczniej skojarzona z chłopomaństwem *Głosu* — L. P. w ciągu ćwierć wieku przebyła najbardziej nieoczekiwane koleje. Z irredenty w polityce i radykalizmu społecznego — etapami: Liga Narodowa — Demokacja Narodowk — polityka narodowa — egoizm narodowy — neoslawizm bez zastrzeń — nacjonalizm — i wreszcie — zapożyczona od pozytywistów „niepodległość wewnętrzna“ — ten renesas patrjotyzmu czynu stał się powoli polityką najdalej idącej abdykacji politycznej, oraz wstecznictwa społecznego. Ba — samo hasło dawnego patrjotyzmu poslkiego — walkę o życie, jako prawo do tego życia —zastąpiono powoływaniem się na klejnot praojców, jako na rację bytu narodu.

„Naród — czytamy w w programowej książce teoretyka nacjonalizmu polskiego — jest wytworem życia państwowego. — Naród może utracić państwo i nie przestać być narodem jeżeli nie zerwał nici moralnego związku z tradycją państwową“.

Czterdzieści lat spokoju starczyło więc na to, ażeby polska polityka narodowa samo prawo do istnienia narodu widziała w tym jedynie, że kiedyś mieli ojcowie nasi państwo i to nie byle jakie.

Tragiczne i smutne bezbrzeżnie „pańskie dziady“ zapanowały w politycznej myśli.

A przecież naród nasz żył w ciągu tych lat czterdziestu.

---

[1]) Sprawozdanie z obchodu 50-cio letniej rocznicy powstania Listopadowego.

W. RZYMOWSKI.

Krytycy i recenzenci.

Henryk Galle.

1.

Henryk Galle wystąpił na rynku umysłowości polskiej nie tylko jako krytyk literacki, ale i jako dziejopis literatury. W obu tych zakresach zasłynął jako benedyktyńskiej miłośnik pracowitości: niestrudzony, ze wszystkich najpilniejszy i najcierpliwszy obwąchiwacz książek.

To go właśnie wyróżnia: inni biorą chlubę z dzieł swych, z czynu swego. On — Henryk Galle — szczyci się pracowitością.

2.

Gdzie rozpoczyna się Henryk Galle? Gdzie rozpoczyna się i kończy jego myśl, jego talent, jego osobowość pisarska? — Tego nikt nie wie. Tego określić niepodobna. Zjawia się to tu, to tam i — znika natychmiast.

Zawsze na tle innych osobowości, zawsze w przeciwieństwie do ludzi rzeczywistych. Zaczyna się on tam, gdzie kończy się pan X. Kończy się tam, gdzie poczyna się pan Y. Z. Nieraz ogarnia mnie wątpliwość, czy Henryk Galle istnieje w rzeczywistości. Czy nie jest on tylko jakimś znakiem algebraicznym, wyrażającym stały i nieuleczalny w krytyce polskiej deficyt? Czy nie jest pewnego rodzaju resztą fikcyjną, powstałą stąd, że jakiemuś genjuszowi *żywej* matematyki spodobało się Jana Lorentowicza odjąć od Adama Grzymały-Siedleckiego, lub Potockiego podzielić przez Feldmana? Istotnie: czy Henryk Galle nie jest poprostu nazwą, oznaczającą niedobór sił twórczych w krytyce i historji literatury polskiej, nie jest imieniem jej niedosiłku?

Mielizna, o letniej porze na Wiśle piaskiem bielejąca, cóż oznacza? Czy posiada byt sama przez się? Nie. Ona szemrze tylko: *niedobór wody.*

Podobnież, ujemne tylko i wtórne znaczenie mają w oczach mych utwory p. Gallego; w przeciwieństwie atoli do mielizn rzecznych, szemrzą: p*rzebór wody.*

3.

Henryk Galle nie wydaje o książkach sądów niesprawiedliwych, i nie wydaje też sądów sprawiedliwych: on chce być bezstronny. Bezstronność swą pojmuje tak wysoko i bezwzględnie, jak ongi bezwzględnie pojmował ją Orygenes, który o mały drobiazg nie został policzony w poczet ojców kościoła, (o drobiazg, którego

dobrowolnie się pozbył). Pan Galle patrzy na książkę tak, jak Orygenes patrzył na kobietę: mniema, że ten tylko może sąd o niej wydać bezstronny, kto jest eunuchem.

4.

Nie chcę przez to powiedzieć, aby p. Galle pozbawiony był wszelkich zdolności; chcę tylko powiedzieć, że zdolności jego są zastraszające.

Potrafi on napisać historję literatury w tysiącu tomach. Lecz, gdy mu przyjdzie ochota: potrafi to samo wypowiedzieć w stu wyrazach. Bezwzględnie to samo: albowiem tysiąc zer, sam przez się wart jest tyleż co dwa miljony zer.

5,

Weźmy ostatnie dzieło pana Gallego (wydawnictwo M. Arcta w Warszawie): *Zarys dziejów literatury Polskiej dla użytku szkolnego.* Obejmuje piśmiennictwo polskie od „Bogarodzicy“ aż do „Dzisiejszych“ Stefana Kiedrzyńskiego. Na przestrzeni 250 stronic druku autor dokonał cudu: scharakteryzował około 800 autorów (kilkanaście tysięcy dzieł!) Na każdego autora przypada średnio koło 10 wierszy. A jak daleko sięga skrzętność pana Gallego, widać stąd, że nie pominął w swym *Zarysie* utworów takich, jak „Doktór Tomasz“, jak „Pociągnięcia pędzlem“, jak „Michalik z P. P. S.“

Dać wizerunek człowieka w dziesięcię wierszach: co za potężna umiejętność syntetyzowania sądów! Jakiż bezcenny dar przenikliwości tkwić musi w tym dziejopisie lieratury!..

Przyjrzyjmy się tym cudom syntezy zblizka:

„Wiktor Gomulicki... jest poetą wytwornym, prawdziwym artystą w sztuce rymotwórczej“... (str. 225).

„Czesława Jankowskiego... liryki celują wykwintem formy poetyckiej, zręcznością rymu i wiersza, subtelnością ironji i marzycielstwa“... (str. 226).

„Włodzimierza Zagórskiego... wiersze i piosenki odznaczają się doskonałością formy wiersza i zwrotki... Umie on być wesołym i dowcipnym, gdy ośmiesza różne ułomności życia publicznego w Galicji, walcząc w imię haseł postępu i demokracji“... (str. 228.

„Jan Kasprowicz... jeden z najwybitniejszych przedstawicieli indywidualizmu poetyckiego w twórczości naszej ostatniej doby... Szczyt poezji rozpaczy... (str. 240).

„Kazimierz Przerwa-Tetmajer... poeta o wytwornej formie, odtwarzający w swych pieśniach inną (niż Kasprowicz) stronę umysłowości współczesnej... Najlepszy wyraziciel zwątpienia i smutku“... (str. 241).

Stefan Żeromski... zasadą twórczości tego pisarza utalentowanego, pisarza, który prozę polską doprowadził do wysokiego poziomu doskonałości... jest bolesna rozterka między pragnieniem dobra a fatalistycznym przekonaniem o konieczności zła... Jest poetą nie protestu, jak Kasprawicz, nie melancholji, jak Tetmajer, ale poetą beznadziejności“... (str. 242).

Leopold Staff... w swoich lirykach jest poetą cichej melancholji i tęsknej zadumy: gorąco pragnie mocy, wielkości, czynu, marzy o potędze, a pełen jest sceptycyzmu i niewiary we własne siły... Z tego źródła płynie smutek, któremu poeta daje wyraz prawdziwie artystyczny“... (str. 251).

Zdzisław Dębicki... poeta... wydał kilka cyklów lirycznych, w których podzwania nuta cichego a przejmującego smutku i melancholji“... (str. 253).

Władysław Bukowiński... układa wiersze liryczne i poematy liryczno-refleksyjne, w których spowiada się z wrażeń swych i przeżyć w formie dźwięcznej, chwytającej za serce szczerością i bezpośredniością uczucia“ (str. 254).

Dość. Tych wzorów nam wystarczy.

Co w nich uderza już na pierwszy rzut oka? Oto: każda z formuł, w jakie historyk stara się ująć pisarzy, stosować się może do wszystkich i — do nikogo. Miast dzielić, różnicować, wyosabniać — zbijają one ludzi w czambuł, jak towar sprzedawany hurtem. Cóż z tego, że historyk na każdym towarze nalepia inną etykietę? Moglibyśmy wszystkie etykiety pozamieniać, przetasować i na nowych nakleić towarach: przemiana taka uszłaby niepostrzeżenie. Pociągnęłaby stratę kleju literackiego: nic więcej. „Zaduma tęskna“ Staffa czymże różni się od „tęsknoty zadumanej“ Dębickiego? „Rozpacz“ Żeromskiego i „beznadziejność“ Kasprowicza — czyż to nie to samo, co „rozpacz“ Kasprowicza i „beznadziejność“ Żeromskiego? Nie chodzi mi już o właściwość „nalepek“, ale o pytanie, czy mają one jakieś znaczenie same przez się, jakąś zawartą w sobie zasadę klasyfikacji, przeciwieństwa bądź hierarchji. Zali rozpacz nie bywa właśnie beznadziejnością, a utrata nadziei nie prowadzi ku rozpaczy? Na jakiej tedy podstawie historyk przeciwstawia Kasprowicza Żeromskiemu?

Wszelako p. Galle nie byłby sobą, gdyby metody swej nie doprowadził sam do niedorzeczności.

Pod nazwiskiem Zygmunta Bartkiewicza (str· 256) czytamy: „Satyryk i humorysta utalentowany, o duszy szczerze polskiej, wydał dwa zbiory nowel—„Słabe serca i Psie dusze“. *O duszy szczerze polskiej* — w tym

określeniu (w czterech wyrazach) p. Galle sam na sobie popełnił morderstwo, jako krytyk i jako historyk literatury, obdarzając duszą *szczerze polską* jednego tylko autora Psich dusz z ogólnej liczby ośmiuset, jak powiedziano wyżej, polskich pisarzy. Tej duszy szczerze polskiej historyk nie dojrzał, ani w Kochanowskim, ani w Wyspiańskim. Stwierdził ją i wymienił dopiero w tworach Bartkiewicza. Wielki boże! co za zdarzenie: gdyby nie Bartkiewicz, ani jednej duszy polskiej (szczerej!) w całej nie mielibyśmy literaturze!

6.

Jaki może być cel w wytwarzaniu podobnych dziwolągów?

P. Galle z góry to pytanie jak rózgę ognistą przewidział i zabezpiecza przeciw niemu swe „tyły“ w przedmowie[1]): „Zastrzegam się jak najbardziej stanowczo, że nie miałem na myśli ułożenia podręcznika historji literatury polskiej... „Chciałem dać w ręce nauczycielom i młodzieży szkolnej klas wyższych książkę, któraby zastąpiła „notatki“, była informatorem i pomocnikiem przy powtarzaniu kursu, zwłaszcza na egzamin dojrzałości“... „Zamknąłem w tej książce wszystko, co młode pokolenie w zakresie historji literatury polskiej wiedzieć powinno“. *(str. VII)* „Do czytania niniejszej książki nie może i nie powinien przystępować nikt, kto nie jest już uprzednio obznajmiony (!) z najcelniejszymi utworami piśmiennictwa ojczystego: taki znalazłby w mym dziełku skróty, napomknienia, przypomnienia, uwagi, konieczne w książce, która ma w kilkunastu arkuszach zawrzeć całość tak bogatej, jak nasza, poezji, i ostatecznie niewieleby skorzystał“... *(str. V)*.

Cobykolwiek można wyznaniu temu zarzucić, posiada ono zaletę jedną: jest szczere. Autor, z poza ukłonów samemu sobie oddawanych, mówi dość wyraźnie: „Kto dziejów literatury polskiej nie zna, ten ich się z mej książki nie nauczy“. Zupełnie słusznie. Nie o to wszakże chodzi. Chodzi o to, czego się z niej nauczyć może ten, który dzieje literatury polskiej zna?

... Napomknienia, skróty, przypomnienia?.. oczywiście, możemy sobie skojarzyć imię *Żeromski* z wyrazem *beznadziejność* lub z wyrazem *rozpacz*: wówczas każdy z tych wyrazów będzie nam przypominał imię Żeromskiego. Ale cóż stąd? Drzwi do skarbca można otworzyć żelaznym lub nawet ołowianym kluczem. Czyż przeto w kluczu zawiera się choć odrobina złota zamkniętego w skarbcu? Nie mieści się więc Żeromski w obrębie rozpaczy, jak z drugiej znów strony, ani rozpacz, ani beznadziejność nie mieszczą się w Żeromskim. Beznadziejność może zawierać się także w skardze pisklęcia, wyrwanego z gniazda; rozpacz być może także w ryku hipopotama, zamkniętego w menażerji. Ani więc rozpacz, ani beznadziejność nie wystarczają, by człowieka wyodrębnić z pośród zwierząt; jakże tedy miałyby wystarczyć, aby człowieka wyodrębnić śród ludzi?

7.

Ale p. Gallemu nie chodzi ani o człowieka, ani o ludzi. Miejscem styczności jego z literaturą nie jest człowiek, nie jest dusza ludzka, ale szkoła, — egzamin dojrzałości. Literatura prowadzi go nie w głąb przeżyć duchowych człowieka, ale ku ławom uczniowskim. Pan Galle czuje się urzędnikiem szkolnym, belfrem, egzekutorem szkolnego programu. Czuje się automatem i chciałby ucznia także zmienić w automat. W ciągu roku szkolnego wpuszcza do pamięci ucznia, niby do puszki metalowej, nazwiska za nazwiskami, tytuły dzieł za tytułami, daty, określniki, teksty, poematy, wiersze, prozy, celniejsze urywki, streszczenia; to jest historja literatury, wykładanej w klasach. Pod koniec roku, gdy wybije godzina egzaminu, belfer pragnie wykazać, że to wszystko, co zostało włożone do pamięci ucznia, przechowało się w niej istotnie, jak w metalowej puszce: bez zmiany i w tym samym porządku. Egzamin tedy, z tego stanowiska, jest pewnego rodzaju wymiotowaniem: chodzi o to, aby uczeń w niestrawionej postaci zwrócił przed stołem egzaminacyjnym to, czym go w roku szkolnym karmiono. I dopiero z tego stanowiska wyjaśnia się cel istotny, cel użytkowy „dziełka“ takiego, jak nadmieniony „Zarys dziejów literatury polskiej“ p. Gallego: ma ono służyć za *vomitif*, za pewnego rodzaju umysłowy emetyk, pobudzający pamięć do wyładowania z siebie tylu a tylu setek imion, tylu tysięcy tytułów, tylu kroć pudów połkniętej bibuły.

8.

Nie jestem przeciwnikiem wprowadzania studjów historyczno-literackich do szkoły średniej. Ale dlatego właśnie, iż wierzę w ich siłę kształcącą i w ich wychowawczą skuteczność, nie mogę pogodzić się z obecnością p. Gallego w tej dziedzinie. Gdybym był wrogiem literatury i humanistyki w szkole, nie miałbym wówcaas nic przeciw tej obecności: owszem, witałbym ją najgorącej, jako żywy na poparcie przekonania swego dowód, najwybitniejszy dowód *a contrario*. Ale ponieważ wiem, jak wiele można się nauczyć od poetów; ponieważ wiem, jak doskonałymi są obserwatorami, t. j. odkryw-

---

[1]) N. b: skażonej błędami gramatycznymi: obznajmiony zamiast obeznany, ilość nazwisk, zamiast liczba nazwisk.

cami światów nowych w zakresie zjawisk zewnętrznych i w zakresie charakterów ludzkich; ponieważ wiem, iż pewnych rzeczy, niesłychanie ważnych, dokonać można, jedynie, samemu stając się poetą: więc patrzę z mniejszą, o wiele mniejszą uciechą, jak w szkołach organizuje się młyny do przerabiania skarbów poezji na ładunek trocin.

Nie zyskuje wielbłąd na wartości przez to, iż go się objuczy cennymi towarami. Djamenty, które dźwiga na sobie, pozostaną djamentami poza nim, on zaś mieć będzie zawsze tylko wartość zwierzęcia jucznego. Podobnież, uczeń, wykształcony na metodach p. Gallego, mający cztery czy pięć lat za sobą studjów literackich, jest takim samym stworzeniem jucznym, które niesie na sobie ładunek zewnętrzny, niesie go pracowicie, aby wreszcie, z westchnieniem ulgi, złożyć przed stołem egzaminacyjnym i... pożegnać się z nim na zawsze. Bo, zresztą, cóżby mu z tego balastu przyszło?.. Metoda p. Gallego zamyka przed uczniem wszelkie drogi ku istotnym wartościom w dziełach poetów, ku tym wartościom, z którymi obcując człowiek staje się głębszy i bogatszy duchem. Pan Galle bierze i zaleca brać innym od poetów... ich wiersze, ich życiorysy, ich chronologję. Nie dar spostrzegawczości, nie dar inwencji, nie siłę twórczą, nie zdolność przenikania charakterów, nie potęgę życiową brać każe od poetów, ale... rymy, w których inwencja ta zewnętrzny tylko znajduje dla się wyraz, w których potęga ta zastyga i sztywnieje. Tu wskaże „kilka cyklów lirycznych, w których podzwania nuta cichego a przejmującego smutku", tam zatrzyma się przy „satyrach i wierszach ironicznych, dowcipem szermujących i subtelną grą słów", owdzie o czyich utworach rzeknie krótko a bez potrzeby: „potrącają o wspomnienia narodowe".

Cóżbyśmy rzekli o ogrodniku, któryby uczniom wskazywał jedynie, jak zrywać z drzewa owoce, ani słowem nie wzmiankując o tym, jak drzewa pączkują, rosną, kwitną i dojrzewają, jak ciągną soki z ziemi, rosę z nieba, słońca żarem się sycą i przeciw burzom walczą. A jednak takim jest ogrodnikiem pan Galle: stoi schylony pod drzewem poezji i trzęsie zeń owoce, owoce, które zbiera i układa następnie w koszu, zwanym **historją literatury**, a który zwać raczejby należało **śpichlerzem pasorzytnictwa**.

I ponieważ nic wiedzieć nie chce o drzewach, ponieważ drzew nie zna, chciałby jedynie mieć owoce, więc zdarza się nieraz, że istotnie, błąkając się śród sadu, zbłądzi pod rumianą jabłoń, złotą gruszkę lub upojny winograd; ale bywa także, iż pod wierzbą stanie albo osiką i trzęsie... i trzęsie... i trzęsie... gruszki, które snadź wówczas mają ten swoisty smak melancholji i beznadziejności który w uściech pana Henryka Gallego uchodzi za najistotniejszy smak literatury polskiej.

D-r Z. DASZYŃSKA-GOLIŃSKA.

Współczesna ewolucja ludności.

IV.

Tendencja rozwoju, która trwa prawie od 4 lat dziesiątków i obejmuje coraz nowe terytorja, słusznie uważana być może za stałą, t. j. związaną z typem naszej cywilizacji, i powszechną. Ta jej powszechność przecież wskazuje, że mamy do czynienia ze zjawiskami innej natury, niż osłabienie przyrostu ludności u Greków i Rzymian. Istotnie, historja się nie powtarza, jakkolwiek oddalone od siebie epoki wykazywać mogą nawet silne analogje.

To też zanim przewidywać poczniemy upadek wpływu Europy w innych częściach świata, jak to czyni Leroy Beaulieu, a szczególniej zanim pójdziemy dalej, przepowiadając nowe wędrówki azjatów i zmianę postaci europejskiej cywilizacji, nasuwa się ewentualność bliższych w czasie i możliwszych przeobrażeń.

Jakkolwiek obniżenie stopy urodzeń jest powszechne, wysokość tej stopy jest różna. Najogólniej scharakteryzować ją można na lądzie stałym Europy, że obniża się ze wschodu na zachód. Centrem najwyższej rozrodczości są centralne gubernje Rosji, wysoka jest u Słowian, silna, ale już niższa, w krajach niemieckich, najsłabsza wśród Francuzów. Kraje skandynawskie mają rozrodczość niższą niż Niemcy; z półwyspów południowych najsilniej rozradzają się Włochy.

Różnica ta uwydatnia się w ciągu całego XIX stulecia i znalazła swój wyraz w przesunięciu ugrupowania najważniejszych szczepów rasowych.

Na 1000 europejczyków liczono w latach:

	1801	1850	1905
Germanów	375	369	373
Romanów	355	321	251
Słowian	268	310	375

Słowianie stanowią dziś przeto grupę najsilniejszą liczebnie, a wobec ich najwyższej rozrodczości oczekiwać można dalszych postępów tego szczepu. Jakkolwiek sama liczebność nie

wystarcza, jako czynnik cywilizacyjnego wpływu, wpływ ten rość musi w Europie i poza nią. Wśród emigracji pozaeuropejskiej element słowiański, a zatem Polacy, w ostatnich latach także Rusini i południowi Słowianie, coraz większe stanowią odsetki. Podniesienie oświaty i kultury emigrantów przyspieszy niewątpliwie oddziaływanie ich na terytorja osiedlenia.

Emigracja zarobkowa, która także idzie ze wschodu na zachód, wprowadza do Europy środkowej i zachodniej fale ludu z Polski, z krajów słowiańskich, Węgier i z Włoch. W rolnictwie i górnictwie niemieckim pracuje przeszło miljon robotników obcego pochodzenia, w tym, jak ocenia dr. Caro, około 600 tysięcy Polaków. Pozatym polskie prowincje Prus wysyłają około pół miljona polskich robotników do Nadrenji i Westfalji, oraz do Berlina i jego okolic. Pomimo brutalnej energji, z jaką Niemcy, a zwłaszcza Prusy bronią się przed tym polskim zalewem, przebywanie 11-miesięczne co roku[1]) tak olbrzymich gromad ludu polskiego w Niemczech, musi wnosić pewne nieniemieckie pierwiastki do życia państwa Hohenzollernów.

Wyludnianie się Francji ma za następstwo także stałe, bo powtarzające się z roku na rok, przebywanie olbrzymiej masy cudzoziemców w obrębie tego kraju. W 1911 r. liczono we Francji 1,132,696 (2.8% ludności) cudzoziemców, i cyfra miljona z górą powtarza się tam z małymi zmianami przy spisach ludności, począwszy od 1886 r. Najliczniejszą grupę stanowią tu Włosi (377 tys.), przemieszkujący głównie na Południo-Zachodzie, dalej Belgowie i Luksenburgczycy (310 tys.). Bardzo liczni są także Niemcy (87 tys.) i Hiszpanie (80 tys.). Zwracać także poczyna uwagę napływ polskich robotników, nie notowanych przez statystykę, jako oddzielna grupa.

Narodowości, napływające do Francji, mają w ogóle wysoką stopę urodzeń. Istnieje też przypuszczenie, że Francja dotychczasową przewyżkę urodzeń nad zgonami zawdzięcza cudzoziemcom. Ogromna część cudzoziemców naturalizuje się we Francji (w 1906 r. naturalizowanych cudzoziemców liczono 222 tysiące) i zlewa z ludnością tubylczą. W każdym razie te $1^1/_2$ miljona przybyszów muszą zaważyć na charakterze ludności i kraju.

Wraz z wyludnieniem dokonywa się przeto wynarodowienie. Grozi ono więcej zachodowi niż mieszkańcom krajów wschodnich. Grupy naszych emigrantów w Europie i po za nią, niewątpliwie narażone więcej od innych przez nizki poziom swej oświaty, nie wynaradawiają się przecież. Przyczyną tego jest prawdopodobnie ogromna różnica cywilizacji i obyczaju, która opasuje je, jakby murem ochronnym.

Przewidywać należy, że zniżka urodzeń postępować będzie jeszcze przez czas dłuższy. Działalność ustawodawcza, która dobroczynnie oddziałać może na zmiejszenie śmiertelności[1]), już w starożytnym Rzymie okazała się bezsilną wobec urodzeń. Tego samego oczekiwać można od projektów ustawodawczych, które wypływają wciąż we Francji i pojawią się zapewne niezadługo w Niemczech. Żaden prawodawca nie jest dość wszechmocny, aby zmusić rodziny do płodzenia większej liczby dzieci, które w dzisiejszych warunkach pracy zarobkowej obojga rodziców są często ciężarem ponad siły.

W demokratyzującej się cywilizacji rodzina i osobnik świadomie nie życzą sobie warunków, któreby obniżały poziom życiowy obecnego i przyszłego pokolenia.

Ale i tu znów obniżka postępuje i postępować będzie powolniej wśród Słowian niż wśród Niemców, Anglików, czy Francuzów. Z pośród różnych powodów wymienię tylko dwa.

Obniżka urodzeń najdalej zaszła po miastach, głównie w miastach wielkich. Wśród słowian w ogóle i wśród Polaków ludność wielkomiejska stanowi wciąż jeszcze niewysokie odsetki.

Ważnym, najważniejszym może powodem ograniczania liczby urodzeń jest wzrost potrzeb, we Francji chęć zebrania majątku. Chłop nasz ograniczenie swych potrzeb doprowadził do nieznanego na Zachodzie stopnia. To też obserwacja którą posługiwać się tu trzeba w braku odpowiedniej statystyki wykazuje obniżkę urodzeń tylko wśród inteligencji i mieszczaństwa. Statystyka miast polskich dowodzi, że stopa, urodzeń najmniej obniżyła się wśród katolików, a zatem Polaków.

Ulegamy zatem w słabym jedynie stopniu ogólnej ewolucji ludności i dla tego obniżka urodzeń w krajach współczesnej cywilizacji jest dla nas odległem niebezpieczeństwem, jakkolwiek wystąpiło ono już na wszystkich ziemiach polskich.

[1]) Robotnicy polscy ustawowo zobowiązani są do wyjazdu przed 20-ym grudnia, a przyjeżdżać im wolno nie wcześniej, jak 1 lutego.

[1]) Zwłaszcza ustawy gmin miejskich dotyczące hygieny i czystości, oraz przepisy sanitarne po fabrykach, kopalniach oraz całe ustawodawstwo ochronne.

Przypominamy szanownym abonentom o uiszczeniu przedpłaty na drugie półrocze.

J. PAPINI.

453 listy miłosne.

Z CYKLU: «TRAGEDJE CODZIENNE».

W ostatniej szufladzie mego biurka, na dnie, zamknięte na klucz, leżą czterysta pięćdziesiąt trzy listy od pewnej niewiasty. Są to listy miłosne, pisane do mnie, wszystkie od tej samej osoby, od osoby, której już nie kocham oddawna, której nie widuje więcej, o której nie wiem, gdzie przebywa. Są to czterysta pięćdziesiąt trzy listy miłosne: wszystko co z wielkiej zostaje miłości.

Ta pełna listów szuflada niepokoi mnie. Nie należę do ludzi czułostkowych. Jestem niesłychanie zimny: jestem obserwatorem raczej, niż uczuciowcem. Z listów owych — z popieliska po wygasłym ogniu—uczyniłem przedmiot dla swych badań. Wszystko może stać się materjałem wiedzy. Chcę w ten sposób uwolnić się od nich. Gdybym je zniszczył, pozostałyby napewno we mnie, jako żal próżny mego pustego serca.

Zacząłem od tego, żem je policzbował, jeden za drugim. Jest ich akurat czterysta pięćdziesiąt trzy—ani mniej ani więcej—to wiem nanapewno. Ułożyłem je w porządku chronologicznym: ciągną się od roku 1903 do 1906. Związałem je w paczki, miesiąc po miesiącu. Styczeń 1903: cztery; luty 1903: ośmnaście; marzec 1903: trzydzieści dwa i tak dalej. Co raz ich więcej, coraz więcej: z każdym miesiącem paczki rosną. Największej objętości dosięgają w czerwcu 1904 ruku: pięśdziesiąt siedem listów. Lecz poczynając od roku 1905 paczki stają się cieńsze, aż nadchodzi październik roku 1906: jeden list, jedyny, *ostatni*, za wolą bożą!

Postanowiłem też je zważyć: (ponieważ nawet najbardziej uduchowione i czułe listy, wedle urzędników pocztowych, mają określoną wagę) zważyłem je dokładnie, wszystkie razem. Przedstawiają wagę 6740 gramów: więcej niż sześć i pół kilo, prawie siedem kilo. Jak na miłość, jest to waga porządna, i gdyby ją umieścić w worku, niedalekoby się z takim ciężarem zaszło.

Policzyłem również, po kolei, stronnice. Liczba stronnic jest przerażająca: kobiety piszą z łatwością, o jakiej nie mamy wyobrażenia. Dla nich słowa, bądź mówione bądź pisane, nie są to dukaty złote, ale miedziane grosze, którymi siać można o każdej porze z bajronowską iście szczodrobliwością. Wprawdzie niewiasta, o której mowa, miała pismo szerokie i wiele zostawiała miejsca między wierszami, mimo to jednak trudno mi było uwierzyć, że w tych 453 listach zdołała ona zapisać trzy tysiące dwieście dwadzieścia stron.

Niema listu, któryby zawierał mniej niż cztery strony, a niektóre zawierają ich po osiem, dziesięć dwanaście, a nawet i szesnaście. Rachunek się sprawdza, ale zdumienie pozostaje zdumieniem. Myślę, że, gdyby wypadło jej te listy wszystkie pisać jednym ciągiem—owe trzy tysiące dwieście dwadzieścia stronnic—choćby nawet pisała po dziesięć stron na godzinę, zużyć musiałaby na to trzysta dwudzieścia dwie godziny pracy, t. j. trzynaście dni i trzynaście nocy bez przerwy, bez odpoczynku. Sądzę, że miłość jej, aczkolwiek nie mająca granic, nie sprostałaby tej próbie.

Nie stało mi cierpliwości ani czasu, by policzyć wyrazy i głoski, poszukiwania me przecież na tym nie stanęły. Zauważyłem, naprzykład, z niejakim zajęciem, że papier listowy oraz koperty przedstawiają cztery odmiany. Niektóre listy pisane były na papierze zwykłym, grubym i ciężkim, koloru starej kości słoniowej; inne na papierze pergaminowym, przytym koperty długie i wązkie; jeszcze inne na brudnym papierze handlowym, ubogim białym i włóknistym. Największa jednak część listów napisana została na papierze lekkim angielskim, który zamyka się w kopertach ciemno błękitnych, żyłkowanych w arabeski szare i czarne, aby nie można było pisma czytać zzewnątrz. Nie zapomniałem również o stronie ekonomicznej owej korespondencji. Wszystek ów papier został wyrobiony, sprzedany hurtem i odprzedany potem do sklepów poszczególnych. Według mego obrachunku, który uważam za dość dokładny, ponieważ i ja także próbowałem rozmaitych odmian papieru listowego, wnoszę, iż koszta papieru ogółem dochodzą do dziewiętnastu lir z centymami. Nie jest to kwota do wzgardzenia dla tego, kto w dostatki nie opływa. Za dziewiętnaście lir nabyć można niebylejakie rzeczy, nie nabywając papieru listowego. Kupić możnaby choćby pięć romansów francuskich po trzy i pół franka za sztukę.

Wszelako koszta na papier to jeszcze nie wszystko. Każdy list posiada znaczek pocztowy. Z owych 453 listów 112 przyszło z miejscowości dalszych, a 341 pochodzi z tego samego miasta, w którym i ja przebywam. Mamy więc 112 znaczków po 15 centymów, co wynosi 16 lir 80 centymów oraz 341 znaczków po 5 centymów, co wynosi 17 lir 50 centymów. Sumując wszystko razem, papier i znaczki, otrzymujemy, że koszta które poniosła ta biedna rozkochana kobieta, dosięgają pięćdziesięciu lir z górą. Lecz zapomnieliśmy o atramencie. Aby napisać trzy tysiące dwieście dwadzieścia stronnic, trzeba zużyć co najmniej cztery flaszki atramentu. Przypuśćmy, że każda flaszka kosztuje 60 centymów, suma kosztów całkowita wzrośnie do 55 lir. Mniemam istotnie, że koszta rzeczywiste, w gotówce, owej miłości

ze strony mej korespondentki nie wiele przekroczyły ponad 55 lir, i ręczę, że nie doszły do 60 ciu. Wartość jej obecna, bezsprzecznie, jest o wiele mniejsza, prawie żadna. Papier napisany nie cieszy się dużym popytem; dobrze, gdy ktoś dwa soldy ofiaruje za kilo. Za całą przeto pisaninę nie dałoby się osiągnąć więcej nad 65 centymów, co najwięcej. Prosta rzecz, iż nie opłaci się po tak lichej cenie zbywać tak poetycznej pamiątki.

A przecież jest obecnie w tych listach *coś więcej* — zarówno dla historyka jak dla poety— coś więcej ponad to, co było w nich wówczas, gdy złożone, jako papier w paczkach, czekały na nabywcę w sklepie materjałów piśmiennych. Są w nich te wszystkie słowa, które zostały napisane, zamyka się w nich cała trzech lat namiętność, nieprzeliczone mnóstwo obrazów, przymiotników i pocałunków: słowem, zawiera się w nich kawał życia mężczyzny i życia kobiety. I wszystko to nie ma dziś żadnej wartości!

Czuję, jak nieskończenie dziwaczne są wszystkie te obrachunki i rozmyślania. Lecz takie mam usposobienie. Nie jestem czułostkowy. Lubię obserwować rzeczy. Gdy widzę orszak pogrzebowy, zastanawiam się, ile też rodzina wydała na lekarstwa, które nie ocaliły chorego, a gdy matka wybucha płaczem, staram się odgadnąć, ile decylitrów łez wylałaby wciągu dnia, ile w ciągu doby. Cóż na to poradzić? Taki jestem: nie bawię się w czułości.

Owe zaś 453 listy miłosne, zamknięte na klucz w ostatniej szufladzie biurka, ciążą mi do pewnego stopnia. Nie chciałbym ich mieć i nie chciałbym ich spalić. Uczyniłem tedy wszystko, by ciężar ich zrzucić ze swej duszy. Policzbowałem i zrachowałem je wszystkie, a jednak jest coś w sercu, co kwili i jęczy i próżno szuka ukojenia. Ale mniejsza o to. Nie jestem sentymentalny.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

Redaktor: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.